

Maciej Wojtyński: Co 25 lat trzeba pisać o tym samym na nowo

Z kinematografią jest podobnie jak z historią, pisze się ją dla swojego pokolenia, dla kawałka pokolenia poprzedniego i kawałka pokolenia następnego. Nie dlatego, że odnajdujemy nowe materiały, tylko dlatego, że stawiamy inne pytania - i oczekujemy innych odpowiedzi: od historii i od kina – mówi Maciej Wojtyński w rozmowie z Adamem Talarowskim dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Wyświetlanie polskości”.

Adam Talarowski (Teologia Polityczna): Jest Pan autorem książki o historii polskiej telewizji do 1972 roku. W latach 60. telewizja zaczęła stawać się w Polsce skutecznym narzędziem uprawiania określonej polityki historycznej. Czy symbolem tego może być serial *Czterej pancerni i pies*?

Maciej Wojtyński (historyk, Uniwersytet Warszawski): Wówczas telewizja z medium o ograniczonym zasięgu, będącego kwiatkiem u kożucha w porównaniu do dominującego wcześniej kina, gdyż większość widzów musiała początkowo chodzić z krzeselkiem do sąsiada – szczęśliwszego posiadacza odbiornika telewizyjnego, zaczęła się upowszechniać. Cezurą może być połowa lat 60., lata 70. to już okres jej ogromnej popularności i zasięgu. Swój udział w tym mieli oczywiście również *Czterej pancerni i pies*, absolutny i niebywały sukces z perspektywy twórców. Poczucie tego, że w Polskiej

Rzeczpospolitej Ludowej nie wszystko jest w porządku – a nawet nic nie jest w porządku, że myśmy II wojny światowej nie wygrali, te czynniki sprawiały, że ówczesne pokolenia głodne były opowieści o tym, że jednak coś się udawało. Cztery pancerni lali Szwabów aż się kurzyło, biednych czereśniaków brali do wojska, miło i sympatycznie, towarzysz radziecki to też człowiek, a dziewczyna nawet ładna, można z nimi żyć za pan brat... Z prawdą miało to bardzo niewiele wspólnego, ale ludzie byli głodni opowieści o sukcesie.

Drugim tego pokroju dziełem ówczesnej telewizji była *Stawka większa niż życia*.

Tak, stworzono ją w jeszcze bardziej perfidny sposób, choć sprawniejszy artystycznie. Z jednej strony nikt nie miał wątpliwości, że Stanisław Mikulski gra sowieckiego agenta, ale z drugiej strony opisy poszczególnych akcji były rozpoznawalne, i nie były to akcje, pod którymi mogła się podpisać sowiecka agentura w Polsce. Dziwnym trafem nie pokazywano tam prawdziwego oblicza czerwonej partyzantki.

A jak wówczas wyglądał obraz polskiej historii, najnowszej i dawniejszej, w filmach kinowych?

Filmy kinowe cieszyły się wówczas bardzo dużym odzewem. Koniecznie trzeba wspomnieć o *Kanale* i *Popiołach* Andrzeja Wajdy, ale też o *Hubalu*, o *Westerplatte*; były również wielkie freski Jerzego Hofmanna: *Pan Wołodyjowski* i *Potop*. Sukces filmowy tych ostatnich był dyskutowany przez serial *Przygody Pana Michała*, grany przez tych

samych aktorów, w tych samych strojach, w tym samych dekoracjach, ale z inną reżyserią, byle tylko „dokopać” Hofmannowi. *Pan Michał* do dnia dzisiejszego tkwi w naszych sercach, czego dowodzi choćby popularność melodii *W stepie szerokim* Wojciecha Kilara wśród polskich kibiców siatkówki.

Hubal, *mimo różnorodnych niesympatycznych uwarunkowań, zrobił wiele dla podtrzymania i ugruntowania świadomości tego, że Polacy mogą też zwyciężać*

Bardzo ciekawe konteksty towarzyszą powstaniu filmu *Hubal*. Początek lat 70., Ryszard Filipiński, grający główną rolę, był uważany za twarogłowego

mocarowca, a dekadę później stał się sympatykiem „stowarzyszenia patriotycznego” Grunwald, oskarżanym o antysemityzm. Na początku filmu nie udało się sformułować jasno, w obliczu jakich okolicznościach (tzn. „bratniej pomocy” ze Wschodu) pułk jest rozwiązywany. W usta majora wkładane są różne niby głębokie, społeczne przemyślenia... Wszystko to boli. Ale film powstawał bezpośrednio po czasach Gomułki, gdy było paskudnie, szaro, brudno, tandeta wyłaziła zewsząd, a rzekoma nowoczesność propagowana po 1956 roku okazała się wydmuszką, czego dowodzą niektóre okropne, warszawskie budynki z tego okresu stojące do dziś. To, co było wówczas charakterystyczne dla epoki objawiło się w dowcipie naśladowującym przemówienia Władysława Gomułki: „Sanacyjna Polska stała na krawędzi przepaści. Dzisiaj, zrobiliśmy wielki krok w przód”. Istotą tej złośliwości jest wskazanie na to, że wszelkimi sposobami obrzydzano rzeczywistość sprzed II wojny światowej. Nagle ukazuje się film nie do końca o klęsce. To nie jak *Westerplatte* Stanisława Różewicza z Zygmuntem Hübnerem w roli

głównej, podtrzymujące mit bohaterstwa w przegranej, ale heroicznej walce. W znacznie większym stopniu widzimy w *Hubalu* to, co się jednak udawało, a Niemcy ponosili też porażki w 1939 roku. Serce widza rosło, gdy polscy żołnierze szli do ataku. Były boje z cenzurą o scenę, gdy w Studziannie pod Tomaszowem Mazowieckim w dzień Bożego Narodzenia oddział wchodzi do kościoła pełnego ludzi. Wojsko zdejmuje czapki i śpiewa *Boże, coś Polskę*. Ten film miał wielkie znaczenie, przypominając o tym, co nie było wówczas promowane, i mimo różnorodnych niesympatycznych uwarunkowań, zrobił wiele dla podtrzymania i ugruntowania świadomości tego, że Polacy mogą też zwyciężać.

Nie można jednak zapomnieć i o tym, że jest tam jedna scena wyjątkowo warta uwagi. Niemcy mordowali jeńców polskich, choćby pod Ciepielowem, ale gdy w filmie żołnierze polscy odnajdują popalone zwłoki z dłońmi obwiązany drutem kolczastym, to widzowi mogło się to kojarzyć jednoznacznie – z Katyniem. To jedno z przekłamań tego filmu.

Niezwykle ciekawe z perspektywy obrazu II wojny światowej są też pierwsze filmy Wajdy – *Pokolenie* i *Kanał*.

Wajda Kanałem pokazał, że można zrobić głęboki i nieupraszczający film bez opluwania Polski.

Twórca to jest takie „zwierzę”, które żyje w odmiennych okolicznościach przyrody niż inni i wolno mu trochę więcej. Wajda był

wielkim reżyserem. Nawet, jeśli zaczynał od rzeczy małych i podłych, zrobił film wielki – *Kanał*. Pewien włoski krytyk powiedział o nim: Trzeba mieć odwagę, żeby obejrzeć ten film do końca. Gdyby tego rodzaju narracja o wojennych losach Polaków przebijała się tak, jak film Wajdy, nie byłoby później kłopotów z interpretacją polskiej historii, którą znamy z *Pokłosa* czy *Idy*, gdzie jako Polacy wychodzimy na zdeklarowanych bandytów i kanalie. Wajda *Kanałem* pokazał, że można zrobić głęboki i nieuprzedzający film bez opluwania Polski.

Potem były *Popioły*...

Dziś na *Popioły* reaguje się z obojętnością, bo to jest książka, której już nikt nie czyta. Ale półtora pokolenia temu była istotna, gdyż epoka napoleońska i jej konotacje miały przełożenie na czasy współczesne, a to, w jaki sposób interpretowano i przekładano materiał literacki na filmowy wzbudzało powszechne zainteresowanie. Równocześnie, sytuacja kultury polskiej poddanej cenzurze nie pozwalała na mówienie pełnym głosem. Właściwie nigdy tak nie było, aby można było mówić co się chce, bo kto płaci – ten wymaga. Nie musi zresztą płacić, wystarcza obawa, że później nie da zamówienia albo nie wpuści na salony... Takie są mechanizmy autocenzury i przykrawania obrazu do wyobrażenia tego, co „powinno” zostać zobaczone. Między innymi za to Wajdzie chwała, że potrafił tymi wielkimi filmami stawiać pytania, które zmuszały do szukania odpowiedzi.

Ciekawą klamrę z pierwszym filmem Wajdy tworzą zamykające jego dorobek *Powidoki*.

Strzemiński został świetnie zagrany przez Lindę, który stworzył kreację wybitną. Film jest świetny, a jego oglądanie przysparza o ciarki na plecach, szczególnie, gdy zestawia się przedstawioną w nim rzeczywistość i postacie z niedawną decyzją Sądu Administracyjnego uchylającego dekomunizację ulic w Warszawie. To jawna kpina ze zdrowego rozsądku i przyzwoitości.

Skoro mówimy o Wajdzie, trzeba wspomnieć o *Katyniu*. Dobry i znaczący film, ale nie wielki, niedorównujący rangą tematowi. Mam nadzieję, że ten powróci jeszcze w polskiej kinematografii.

Jakie jeszcze treści mogłyby stać się tematem dla polskich twórców szukających inspiracji w naszej historii?

Robiący furorę na świecie australijski reżyser, twórca m.in. *Pikniku pod wiszącą skałą* Peter Weir nakręcił przed 10 laty film z Collinem Farrellem *Niepokonani*, opowiadający o ucieczce z łagrów. Opowieść dotyczyła Polaka, który przez pół Syberii, Mongolię, Tybet, Himalaje – dotarł do Indii. Ktoś taki film zrobił, czemu nie my?

Czesi potrafili zrobić film o czeskich lotnikach. A gdzie jest film o polskich lotnikach?

Rzecz jednak nie tylko w tym, żeby te filmy powstawały, ale by było to dobre filmy. Przypomnę tylko – *Bitwę pod Wiedniem 1683*. Tragedia.

Jak więc należałoby opowiadać polską historię zagranicznemu odbiorcy?

Wielotorowo. Ostatnio Sławomir Cenckiewicz zwrócił uwagę na fakt, w związku ze sprawą próby usunięcia pomnika katyńskiego w New Jersey City, że nie ma ani jednej broszurki w języku angielskim o Katyniu, którą można by powielić. Dlaczego na rządowych stronach internetowych nie ma dokumentów do pobrania informujących o polskim punkcie widzenia? Dlaczego Rosjanie potrafią mieć odrębne kanały dystrybucji tego rodzaju informacji, zazwyczaj przeciwnych naszej narracji? W porównaniu z nimi jesteśmy jak pijane dzieci we mgle. Można by umieszczać filmy na YouTube – ludzie robią to z potrzeby serca i dla własnej satysfakcji, ale dlaczego tego nie robi państwo? To są pytania, na które chciałbym usłyszeć odpowiedzi.

IPN kilkanaście miesięcy temu zabłysnął filmikiem o Polsce zgniatanej pomiędzy niemieckim walcem Hitlera a rosyjskim walcem bolszewizmu i Stalina. Proste, krótkie, łatwe i czytelne. Na taką działalność bezwzględnie powinny się znajdować pieniądze.

Właśnie – pieniądze. Może problemy wynikają z tego, że cała polska kinematografia ma mniejszy łączny roczny budżet niż niejeden, realizowany z rozmachem zagraniczny serial?

To prawda, w związku z tym polski film na światowe rynki się nie przebija. Ale można upatrywać szansy w Internecie, w tym, by sączyć do ucha i oka informacje, które będą promowały polską wersję historii.

Polski film na światowe rynki się nie przebije. Ale można upatrywać szansy w Internecie, saczyć do ucha i oka informacje, które będą promowały polską wersję historii

Niemcy od wielu lat inwestują w budowanie swojej wersji narracji historycznej o II wojnie światowej, ale nie tylko. Historia zamków, historia reformacji i tak dalej... Żadna z

polskich stacji telewizyjnych, a szczególnie należałoby wymagać tego od TVP, nie próbuje nawet podejść do czegoś takiego. Za czasów PRL robiono więcej filmów i programów historycznych niż dziś, mimo istnienia odrębnego kanału TVP Historia. Co więcej, kanał ten, w dużej mierze nastawiony na powtórki i bardzo skromne produkcje, funkcjonuje jako wentyl bezpieczeństwa czy też listek figowy, pozwalający uzasadnić pominięcie treści historycznych w ramówkach „normalnych” kanałów.

Podsumowując naszą rozmowę: z kinematografią jest podobnie jak z historią, pisze się ją dla swojego pokolenia, dla kawałka pokolenia poprzedniego i kawałka pokolenia następnego. Co 25 lat trzeba pisać o tym samym na nowo. Nie dlatego, że odnajdujemy nowe materiały, tylko dlatego, że stawiamy inne pytania - i oczekujemy innych odpowiedzi: od historii i od kina.

Z Maciejem Wojtyńskim rozmawiał Adam Talarowski.

Fot. Tadeusz Kubiak/Filmoteka Narodowa